N° 5.

Bióro Redakcji przy ulicy Solnej Nr. 715, w Warszawie.

Prenumeratorowie stali **Opiekuna Domowego**, — nadsyłający prenumeratę wprost do Redakcji, otrzymują w dodatku **Czytelnię Domową**, zawierającą w sobie wybór powieści, romansów, dramatów i tym podobnych dzieł treści beletrystycznej.

OPIEKUN DOMOWY

Warszawa, dnia 23 Stycznia / 4 Lutego 1871 roku.

ROK VII.

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33¾). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda Hösicka, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u **Leitgebera**, — *we Lwowie* u **Wilda Karola**, *w Żytomierzu u* **Budkiewicza** księgarza.

TREŚĆ: Starość, przez *Zofję z Brzozówki.* — Krótka piosenka, (wiersz), przez Franciszka *Gumowskiego.* — Nowe drzewa iglaste (z dwoma drzeworytami), przez *L.* — Zamek w Krasiczynie (z drzeworytem), przez *L. T.* — Gertruda Komorowska (ciąg dalszy) przez Wołodego *Skibę.* — Żółty wujaszek, powieść Władysława *Łozińskiego* (ciąg dalszy). — Krawiec wiejski (drzeworyt). — Wiązanka. — Rozmaitości.

STAROŚĆ.

I.

Są ludzie lękający się starości jako przedgrobowéj chwili, złożonéj z sieroctwa, — defektów, — dziwactw i niedołęztwa. — Nieraz dają się słyszeć te słowa: — *Na co ta starość, — ten powrót do dzieciństwa, — ten ciężar sobie i ludziom, — ta długa chwila odrętwiała i bezczynna?*

Kto po chrześcijańsku pojął życie jako dar Niebios, — który Bogu i ludziom zawdzięcza, tego starość nie zastrasza, a tylko zbliża do oglądania wiekuistości, w pogodzie myśli i spokoju ducha.

I wielki genjusz i cnotliwy prostaczek, tejże saméj natury ulegając prawom, postarzeć się muszą; lecz obaj mają równą zasługę w cnotliwéj starości, któréj się nie boją, bo laur widomy i kwiat ukryty, rosną zarówno na roli obowiązków, nie dla ozdoby tylko, lecz dla miłości prawdy Bożéj i posługi bliźnich współbraci.

Gdy wiek obrzuci głowę siwizną, gdy przygarbi ramiona które brzemię obowiązków niosły ochoczo, wspomnienia — jak goście z da-



Zamek w Krasiczynie. (Str. 35).

wnych czasów, nawiedzają starca, świecąc dokoła promieniem cnotliwéj młodości.

Usta na których za młodu było szczere słowo dla Boga i ludzi, nie złorzeczą starości, szanując ją jako dzień jasnowidzenia, w którym się obliczają z obowiązkami życia. Starość nie jest wypoczynkiem, dającym prawo do bezczynności, ani też przywilejem grymasów i dziwactwa. Tylko ciało stérane laty, musi wypocząć, a umysł i serce świeże i ciepłe idą do grobu, nie wytrącając siebie za życia z rejestru czeladzi Bożéj.

Starość cnotliwych ludzi jest jakby ołtarzem, na którym goreją zasługi ich młodości,—ich bóle, — praca i dzieje czasu w którym mieli udział. Młodość jest jakby sprężyną, który do czynów popycha i coraz nowe odkrywa światy, waśniące się nieraz z sobą. Starość zaś jest zaciszem, gdzie już czyny i światy zlały się w harmonją i zgodne z sobą stają u progu wieczności.

Czerstwa a pogodna starość, jest zawsze nagrodą czynnego a zacnego życia. Złorzeczyć przeto starości nikt niéma prawa, bo jak w człowieku leży najczęściéj przyczyna jego nieszczęść, tak również nędzna i kwaśna starość jest jego winą. Zbolała i osierocona starość, ma wielką ulgę w szlachetnych wspomnieniach. Gdy zacny starzec zaduma się nad swoją przeszłością, drogi któremi chodził, występują na jaw jasne i proste jak prawdy Boże. Gdy go otoczą wnuczęta, pytając o dawnych dziejach, otwiera przed niemi księgę swéj młodości i naucza jak się dosłużyć zacnych lat sędziwych w miłości, pracy i modlitwie czynu.

Starzec-wieszcz, — choć zgarbiony laty i już u wrót śmierci, promienny myślą, pogodny duchem, słyszy ciąg dalszy dawnéj pieśni życia i na omszałéj lutni dogrywa ją u grobu. Każdy ton téj lutni jest dźwiękiem idei i cnoty którą ukochał, za którą walczył, z którą kładnie się do grobu, jako do kolebki przyszłego życia. Chociaż burze nieraz grzmiały nad jego głową, chociaż ciernie krzewiły się pod jego zbolałemi stopy, chociaż piołuny obrastały czarę jego życia, wyniosły myślą i czysty duchem, wiarą pokonywał burze, nadzieją rozkwiecał ciernie, miłością osładzał piołuny.

Wspomnienia starca-wieszcza czuwają u progu ostatniéj chwili, by rozpromienić gasnące źrenice, uczcić anioła jasności, co go wiódł przez życie i stanąć przy szalach sprawiedliwości Bożéj, gdzie ważyć się będą jego zasługi i bóle.

Gdy popołudniowe godziny wieszcza zejdą się z zachodem dni jego, starość w swym majestacie rozpromieni czoło zorane latami i blaskiem wieczornych świateł przyświeci aż do grobu dziejom wieszczego żywota.

Starzec-kapłan,—który świat cały ogarnia miłością,którego życie jest pasmem ciągłych ofiar, staje się jakby rytmem odwiecznéj harmonji, którą Stwórca wszechświata złożył w duszy wybranych. Życie takiego starca nosi na sobie znamię świętości, prostującéj ciernistе drogi sługi ołtarza, którego celem i pragnieniem jest szczęście bliźnich.

Największa jasność ziemska nie olśni oka i sumienia prawego kapłana. Niezłomny jak opoka, pracowity jak apostoł prawdy, przebaczający jak ojciec marnotrawnemu synowi, pokorny jak uczeń Chrystusa, wiarą rozświeca ciemnotę, miłością nawraca zbłąkane dusze.

Wiosna i lato takiego kapłana, po obrachunku wzajemnym, składają się na zimę, któréj owocem jest starość błogosławiona, jako dar czystego ducha, pracy i ofiary.

Starzec-mędrzec,—który jasnym duchem zgłębił prawdy Boże, który na straży sumienia postawił mądrość, który naukę i cnotę zlał w jeden promień, który na szali prawdy Bożéj ważył swą młodość, który osiwiał w pracy dla dobra pokoleń, takiemu lat brzemię nie jest ciężarem, bo do ostatniéj chwili słowem, życiem i zgonem, daje świadectwo prawdzie, a czas mu wymierza sprawiedliwość, nagradzając starością sumienną i czynną.

Mędrzec i w późnych latach, nie odrywa się od dziejów świata, dopełniając swe życie, nastrojone na nutę praw Bożych i ludzkich. Wszedłszy ofiarą i trudem na jasną drogę żywota, spełnia najwyższe przykazanie, że — *bez Ducha Świętego nie ma zbawienia.* Starość mędrca, jest kapitałem uzbieranym za młodu, a który wypłaca aż do ostatniéj chwili na korzyść ludzkości.

Starzec-artysta,—co się nigdy nie kłaniał materjalnemu światu, nie sponiewierał swego ideału, nie poniżył się bałwochwalstwem, nie zawsze jest oceniony, lecz zawsze pogodny w życiu i sumieniu. Artyzm i piękno, rozlewając się po całém jego jestestwie, bronią go od próżności, lekkomyślnych zboczeń, ekscentrycznych wybryków, do czego dają sobie prawo tuzinkowi zwolennicy sztuki. Rzeczywistość i piękno tak na siebie działają, tak się wzajemnie posiłkują w natchnieniu, że wszystko co otacza starca artystę, lubo przeciwne ludziom prozy i samolubstwa, nosi na sobie piętno godności i poezji. Dwa światy—ducha i materji, zjednoczone w życiu starca artysty, bronią go od niewiary, pielęgnują miłość w duszy aż do ostatniéj chwili, dają mu wyższość, którą Bóg uświęca, a żaden ziemski bożek pozbawić nie może.

Dla starca-artysty, nie powszednieją nigdy wdzięki natury, nie stają się przykrymi ludzie, nie tożsamieje nigdy domowe ognisko, nie nuży go wiek podeszły, bo do najpóźniejszéj życia godziny, zachował młodą duszę dla ludzi, piękna i natury.

Starzec-rolnik—który matkę ziemię kochając zasilał ją swą pracą, jéj owocem krzepił swe siły i dzielił się z biednym, jakże spokojnie doczekał starości. Z ufnością w łaskę Bożą, z ręką przy pługu, idzie pogodny, obsiewa zagon, z którego chleba może już jeść nie będzie.

Starzec rolnik miłuje pracę, zdobyte plony, które Opatrzność na wieczny posag ludzkości złożyła w ziemi i z żałosną wymówką patrzy na próżniaka, utracjusza i poniewiercę podań i mozołów ludzkich. Na czole starca-rolnika czas wyrył trzy niezatarte słowa: — nadzieja, wytrwałość i praca.—Nad jego osiwiałą głową śpiewa skowronek, może już pieśń ostatnią, a on do ostatniéj swéj chwili, dorzuca jeszcze nadzieję i pracę.

Starzec-bezbożnik,—który judaszowy spełnia katechizm, w którego duszy ciemno jak na dnie bagniska, a zbrodnie jak fale wyrzucają go do brzegu na postrach i wzgardę ludzi, wyklina starość. Zgryzota trzęsie jego sumieniem, śmiertelne grzechy łażą po jego siwiźnie i zgarbionych barkach, jako świadki znieważonéj prawdy. Godziny jego życia zegar piekielny wybija, a nad jego jałową starością, jak nad bezmierną pustynią, płomieni się tarcza bezbożnych wspomnień, wiodących go do grobu manowcem przekleństw i niewiary.

Starzec-cynik,—który jak owad w czarze słodkiéj trucizny utopił swe życie, złorzeczy starości, jako nienawistnemu gościowi, co mu rzuca przed oczy rejestr jego grzechów.

Tchnienie starca-cynika, jest trucizną niszczącą kwiaty i owoce młodego życia. Dożywa on starości upiorzéj, a serce jego rozszczepia się jak pień spróchniały, budząc wstręt i trwogę. Poranne dzieje starca-cynika, są przypominkiem złudzonych i mętnych uciech, wieczorne zaś jego chwile, stały się piastunką starości obmierzłéj, jakby w lód zastygłéj grzechów kałuży.

Starzec-lichwiarz,—który na jawie i we śnie dąży na cudzą krzywdę, któremu łzy i niedola lichwiarski procent płacą, w którego sercu chłodno jak w trupiarni, doczekał starości wstrętnéj i splesniałéj. Dźwiga ją na swych barkach jak brzemię zrobaczałych grzybów, wzbudzających zaduch i obrzydzenie. Chciwość, jak zły duch krąży dokoła starca-lichwiarza, a grzechy nędznego żywota, dolicza z lichwiarskim procentem do podłości kapitału, który na ostatecznym sądzie, będzie musiał wypłacić. (d. c. n.)

KRÓTKA PIOSENKA.

Chcesz piosenki—małe dziecię,
Aniołku ty Boży;
Uśmiechnij się jak kwiat w lecie,
A piosnka się złoży.

Chcesz piosenki—siwowłosy
Starcze, więc za pracę,
Módl się za mnie pod niebiosy,
A piosnką odpłacę.

Chcesz piosenki z krwi i kości,
Ha, wiarusie—słyszę...
Powiedz mi co z twéj przeszłości,
A piosnkę ci spiszę.

Chcesz piosenki od śpiewaka,
Dziewczę—jasne zorze;
Śpiewakowi daj buziaka—
A piosnkę utworzę.

Franciszek Gumowski.

NOWE DRZEWA IGLASTE.

Dwa gatunki drzew iglastych, Welingtonia i Araukaria, od nie tak dawna stały się bardziéj znane i dziś jeszcze są przedmiotem badań naukowych, dla naturalistów.

Mianowicie też Araukaria (Araucaria imbricata), którą rysunek w tym Nr. *Opiekuna Domowego* podany przedstawia. Jest to drzewo stref gorących, wzrastające w środkowéj i południowéj Ameryce. Chili i Brazylja, przedewszystkiem weń obfitują. Podobnie jak wszystkie twory zaatlantyckiéj flory, Araukaria wyróżnia się znacznymi rozmiarami, bo wyrasta do 15 łokci wysokości. Drzewo to jest bardzo piękne. Rozłożyste gałęzie jego, pokryte są wielkiemi i nadzwyczaj mocnemi igłami, o które nietrudno nietylko się ukłuć, lecz i głęboko skaleczyć rękę. Swoim układem około pnia, gałęzie te formują poniekąd ostrokrąg, podstawa którego znaczną posiada średnicę; wierzchnie gałęzie drzewa daleko rozrastają się we wszystkie strony. Araukaria daje wiele korzyści i pożytku człowiekowi. W Brazylji i Chili drzewo to bardzo mocne i twarde, używane bywa na wyrób statków domowych, a nawet mebli. Gruba kora drzewa tego używa się do wyrobu drobniejszych sprzętów domowych, a igły drzewa zastępują należycie grube igły do szycia używane. W ostatnich latach próbowano je aklimatyzować w Europie, gdzie się w południowych krajach z łatwością przyjęło.

Welingtonia (Welingtonia gigantea), podobnie jak Araukaria, należy do rodzaju drzew iglastych i zupełnie podobne téj ostatniéj posiada przymioty, różniąc się od niéj tylko zewnętrzną postacią. Welingtonia również rośnie tylko przeważnie w Ameryce i także dosięga znacznych rozmiarów. Z postaci przedstawia się jak trójkąt. Gałęzie u Welingtonji, bardzo gęste i cienkie, pokryte są niewielkiemi igłami. Obok tego gałęzie te, czego nie daje się widzieć u żadnego innego z drzew iglastych, dochodzą do saméj ziemi i zupełnie zakrywają strzałę drzewa, tak, że Welingtonia nadzwyczaj jest podobną do ogromnego stogu siana, z ostro zakończonym wierzchołkiem. Gałęzie, osobliwie w dolnéj części drzewa, są tak gęste, iż w lasach Brazylijskich dzicy ludzie budują pod niemi swoje mieszkania, zupełnie zakryte, których nawet o kilka kroków rozpoznać trudno. Aklimatyzacja Welingtonji odbywa się z większą trudnością aniżeli Araukarji, z powodu, że posadzone drzewo w ziemię nie takąż samą (bo jéj niema w Europie) jak rodzinna, rość przestaje i czułe jego igły opadają, zostawiając gołemi gałęzie i strzałę drzewa.

J.

ZAMEK W KRASICZYNIE.

Jednym z najpiękniejszych i najlepiéj utrzymanych gmachów starodawnych w Galicji, jest zamek Krasiczyński, w obwodzie Przemyślskim. Fundamenta tego zamku założył Stanisław Krasicki, kasztelan Przemyski w r. 1592. Zbudowany on jest w stylu Gotyckim, w kształt dużego czworoboku, o czterech wieżach narożnych, ozdobionych koronkowym filigramem, i o wspaniałéj bramie wjazdowéj, przypominającéj podwoje najsławniejszych świątyń Europy. Nad bramą wznosi się piękna wieża z zegarem, a podwórzec obszerny obiegają dokoła kryte galerje. Z zewnątrz obwiedziony jest cały zamek szerokim okopem, napełnionym wodą. Wnętrze zamku odznacza się równym przepychem, jak zewnętrzna jego budowa. Na ścianie kaplicy znajdują się popiersia cesarzów Niemieckich i wielu sławnych mężów. Okazałe salony przyozdobione są arabeskami, pomalowanemi głowami, robionemi snycerską robotą z drzewa, obrazami w złoconych ramach, które przedstawiają zdarzenia z czasów Zygmunta III i Władysława IV. Komnata baszty, zwanéj papiezką, ozdobiona jest wizerunkami papieżów. Wszyscy trzéj Wazowie zaszczycali zamek Krasiczyński swojemi odwiedzinami, goszcząc u jego właścicieli. Obecnie dobra Krasiczyńskie należą do książąt Sapiehów, którzy nie szczędzą kosztów na utrzymanie w jak najlepszym stanie starożytnego zamku. Stanisław Okraszewski, słusznie napisał w *Bibliotece Warszawskiéj* (1842 r. T. II. 479): „gdyby zamek Krasiczyński znajdował się w Anglji lub Niemczech, odbywanoby doń pielgrzymki, a kosztowny opis z rycinami, zapoznałby świat cały z najskrytszym jego zakątem. U nas, zaledwie kto wie że jest Krasiczyn na świecie.”

L. T.

GERTRUDA KOMOROWSKA.

(*Dalszy ciąg*).

Ochmistrz dał się namówić synowi pana i rozpoczęły się tajemne do Syszny wycieczki, które Szczęsny naprzód z mentorem, a potém sam odbywał. Uczucie którém serce jego uderzyło dla Gertrudy, było pierwszém i czystém, nieposkromioném i gwałtowném.

Komorowscy, może się dali uwieść prośbom i błaganiom młodzieńca i własnéj córki, może i łudzili się trochę nadzieją świetnéj kolligacji, dość, że się zgadzali na te odwiedziny tajemnicze. Zapytywali wprawdzie Szczęsnego o powód tych odwiedzin i radzili mu by ich zaprzestał, ale to podsycało tylko miłość. Szczęsny błagał o cierpliwość do czasu i oświadczył formalnie chęć pojęcia Gertrudy za małżonkę.

Rzecz taka nie mogła się długo przed rodzicami utaić. Na dworze zaczęto o niéj przebąkiwać, aż się doniosła do wojewody. Ten w miłostkach syna nic groźnego nie widział, brał je widać za szał młodości, który prędko powinien był przeminąć. Postanowił je tolerować, udając że nic nie wie, i zakazując najsurowiéj swym ludziom, aby o tém nikomu nie wspominali. Tym sposobem przed matką dochowała się tajemnica.

Jeśli więc ciąży wina na Komorowskich, iż przyjmowali potajemnie wizyty syna magnackiego domu, niemniejsza ciąży i na wojewodzie, że wiedząc o miłostkach jedynaka, patrzył na nie przez szpary, lekceważąc w ten sposób cześć i dobre imię równych sobie urodzeniem, choć niższych fortuną, sąsiadów. Oprócz téj winy, wojewoda kijowski zawinił jeszcze niebacznością.

Szczęsny formalnie zażądał ręki Gertrudy. Rodzice jéj żądali przyzwolenia rodziców, Szczęsny przekładał, że we wszystkiem winien posłuszeństwo rodzicom, prócz „postanowienia swego,” jak naówczas nazywano ożenienie się. Gdyby byli Komorowscy zgodzili się niezwłocnie na tę filozofją młodzieńczą, nie zgadzającą się nawet z dzisiejszymi, a cóż dopiero z ówczesnymi obyczajami, wina ich byłaby większą, możnaby ich słuszniéj o udział w intrydze i ambitne widoki posądzać. Upierali się jednak i upierali się długo, przez ośm miesięcy, i dopiero wtedy zmiękczyła ich ostateczność pana młodego a zapewne i łzy błagalne ukochanego dziecięcia.

Ślub wzięto za indultem potajemnie, ale z wszelkim ceremonijałem, a nawet uprzednio odbyto zaręczyny w Susznie d. 18 Listopada 1770 r. Od tych zaręczyn do dnia samego aktu ślubnego (26 grudnia) upłynęło jeszcze sześć tygodni blisko. W intercyzie ślubnéj Komorowscy zapisali wyraźnie, iż przyzwalają na związek „nie mogąc się oprzeć nieodstępnemu żądaniu Szczęsnego i nie chcąc zagradzać szczęściu ukochanéj córce swojéj.” Gertruda otrzymała w posagu 100,000 złp. oprócz przyzwoitéj wyprawy. Szczęsny wzajem, tąż intercyzą „z własnéj woli i szczerego afektu przyszłéj małżonce prostym długiem zapisał summę.....” na któréj wypisanie w oryginale próżne pozostawiono miejsce. Pozostawienie *in blanco* summy zapisowéj w takim akcie, jest wymownem świadectwem bezinteresowności Komorowskich.

Ślub nie odbył się cicho, byli na nim i zaproszeni goście, nawet jedna z Potockich, wojewodzina bełzka. Długo też po jego zawarciu nie starano się zachować go w tajemnicy. Komorowscy naglili Szczęsnego o odkrycie wszystkiego rodzicom, a gdy ten zwlekał, o rozgłoszenie starali się sami, chcąc się tém może od zarzutu zbytniéj powolności dla młodzieńca zasłonić. W Krystynopolskim więc dworze wkrótce się o nim dowiedziano...

Krótkie szczęście państwa młodych, którzy dorywczo tylko widywać się mogli, tę miłość, tak przecudnie opisaną w poemacie, zatruwać musiała ciągła obawa następsw, gniewu potężnych rodziców, wydania się tajemnicy...

Miesiąc miodowy, miesiąc szczęścia, trwał tylko cztery tygodnie, jak każdy zwykły miesiąc w kalendarzu....

Wojewoda pierwszy się dowiedział o tém co zaszło; przed matką, która była słabą podówczas, zachowano tajemnicę.

Ojciec nie odrazu powiedział synowi, że wie o wszystkiem, choć Szczęsny mógł się domyślać, że droga jego tajemnica przestała być tajemnicą. Dwór krystynopolski, naradzał się pocichu co począć daléj. Obawa i niepokój miotały starostą bełzkim (taki tytuł nosił podówczas mąż Gertrudy) i kołatały nim tak, że słabego charakteru młodzieniec omdlewał ze smutku i trudu.

Gdy raz tak omdlał, w pokojach sióstr swoich, zawołano do niego ojca. Ten przyszedłszy powiedział mu że wie o jego postępku i że go tai przed matką. Prosił go przytém aby przyzwolił na rozpoczęcie rozwodu „jeśli nie chce wtrącić matki do grobu,” i przyrzekł hojném wyposażeniem Gertrudy, wynagrodzić związek zerwany,

Szczęsny... o! nie porównywajmy go tutaj z bohaterem poematu, Wacławem... Szczęsny był słabém dzieckiem, drżącém przed gniewem potężnego ojca, upadł na duchu, poddał się i zezwolił. Zezwolił z żalem i boleścią, sądząc może że tym sposobem ukochaną swoję zwolni od gwałtownych środków przemocy, lub może, jak zazwyczaj słabe charaktery, liczył na to, że może kiedyś, później, lecz jeszcze przed stanowczém zerwaniem związku, uda mu się przebłagać i zmiękczyć rodziców.

Tak go przynajmniéj tłumaczy jeden z pamiętników współczesnych, i tak tłumaczyć go można że względu na wychowanie jakię otrzymał. Gdyby go wychowano na mężczyznę, na takiego Wacława z poematu, byłby w historji królów poszukał przykładu,—przykładu zaprawdę mogącego nie zawstydzić Potockich, — jak się dochowuje wiary małżeńskiéj, byłby wspomniał Zygmunta Augusta i Barbarę i byłby postąpił jak Zygmunt.

Do rozwodu potrzeba było jeszcze przyzwolenia drugiéj strony, a tego nie spodziewano się dobrowolnie uczynić, postanowiono zatem za radą jednéj z krewnych, porwać narzuconą synowę, uwieść ją i osadzić we Lwowie, w jakimś klasztorze, w którym przełożoną była jakaś krewna Potockich.

Czyn taki był bezprawiem, ale dom rodziców Szczęsnego był zbyt potężnym, aby się nie miał ważyć na bezprawia, które ówczesne rozruchy domowe czyniły łatwiejszemi niż kiedykolwiek. Zresztą, gdyby koniecznie przed sprawiedliwością odpowiadać przyszło, można było pieniędzmi kupić kogoś, coby winę przyjął na siebie...

Starano się więc najprzód podstępem zwabić do Krystynopola żonę Szczęsnego. Za narzędzie do tego wojewoda użył — swojego syna; udobruchał się niby, radził synowi żeby się nie smucił, żeby szczególniéj przed matką nie okazywał zmartwienia. Mówił mu daléj, że niebywanie Komorowskich w Krystynopolu, mogłoby matkę naprowadzić na domysły, że więc trzeba postarać się o ich wizytę. Pokazał synowi list swój własnoręczny, zapraszający sąsiadów i kazał mu takiż sam napisać do żony, dodając, że rodzice nic jeszcze nie wiedzą. Szczęsny zastosował się do woli ojca.

Wojewoda zatrzymał swój list własny, a z listem syna wysłał do Suszny sześciokonnym powozem swego dworzanina Wilczka, który udawał, że jest przysłanym tylko przez Szczęsnego i zapraszał Gertrudę do Krystynopola.

Komorowski jednak domyślając się że wojewoda wie o wszystkiem, nie dał się podejść. Wysłał natychmiast do zięcia umyślnego posłańca, a ten powrócił z bilecikiem naprędce nakreślonym ołówkiem, który dla Komorowskich dostateczném był ostrzeżeniem.

Naturalnie, że Gertruda nie pojechała do Krystynopola, a nawet przez ostrożność postanowili Komorowscy przenieść się do innych dóbr swoich pod Lwów.

Nim do tego przeniesienia się przyszło, wojewoda drugi raz spróbował tegoż podstępu. Zaprosił Komorowskich z całą familją na ostatki do siebie. Starosta nowosielski, jakkolwiek sam wyznaje, w jednym z dokumentów wywiązanego następnie procesu, że nie dowierzał i temu zaproszeniu, sądząc jednak, że zbliżenie się przyjacielskie i wytłumaczenie jego postępowania, zdoła ułagodzić magnata, postanowił skorzystać ze sposobności, jadąc *sam* do Krystynopola. Przedtém jednak wysłał tam posłańca, aby dlań gospodę zamówił. Dworscy wojewody natychmiast za przybyciem obskoczyli wysłanego i zrewidowali czy jakich listów nie wiezie. Upatrzywszy porę sposobną, posłaniec wymknął się im i uciekł do odległéj tylko o trzy mile Suszny.

Po tym wypadku, ojciec Gertrudy naturalnie zaniechał zamiaru probowania szczęścia z wojewodą i przeniósł się pod Lwów.

Tym sposobem drugie pokuszenie ojca Szczęsnego spełzło na niczem.

Jeszcze przed tymi zamachami, Szczęsny na żądanie i rozkaz ojca, zrobił manifest (akt sądowy), którym uznawał swój związek małżeński za nieważny, indult, o który sam prosił, za zmyślony, i w którym nie miał tyle nawet woli, żeby się od dotkliwych zarzutów przeciw Komorowskim wymówił!...

Manifestem tym dał dowód słabości najostatniejszéj, zupełnego moralnego nicestwa. Twórczość tylko poetyczna takiego poety jak Malczewski, mogła z téj gliny ulepić Wacława.

Domyślać się wolno, że w całéj téj intrydze, którą Szczęsnego do tak nieszczęsnych dla jego pamięci kroków skłaniano, tajemnica przed matką była tylko jedną ze zgrabnie używanych a sztucznie wymyślonych sprężyn. Nieprawdopodobnym się zdaje, żeby tajemnicę przed matką utrzymać zdołano aż do końca, tembardziéj że wojewodzina nie była kobietą niewiedzącą co się w domu dzieje. „Wieczór, gdy sobie wszyscy dobranoc powiedzą, — mówi o niéj list współczesny,—nadchodzi generalnéj spowiedzi godzina, w pokoju wojewodziny. Kto z kim gadał, zaraz tego wołają: jeżeli domowy, pytają się co gadał i z kim gadał, jeżeli obcy, to posyłają żeby się od niego dowiedzieć. Jeden tedy przyczyni, drugi umniejszy i tak nazajutrz różne bajki i nieporozumienia się z tego rodzą." Przed okiem i uchem takiéj kobiety, rzecz taka jak tajemne małżeństwo syna, ukryćby się nie mogło,—wiedziała więc i matka o wszystkiem, a jeśli wiedziała, to brała udział we wszystkich naradach przeciw Komorowskim. Tajemnicę przed nią wymyślono tylko dla Szczęsnego, aby mieć nad nim władzę, grożąc mu ciągle wrażeniem, jakie wiadomość o wypadku wywrze na matkę.

(d. c. n.)



Araukaria (Araucaria imbricata). (Str. 35.)

ŻÓŁTY WUJASZEK.

OPOWIADANIE,

przez

Władysława Łozińskiego.

(*Dalszy ciąg*).

Ująłem tedy ramię Helenki i sprowadziłem drżącą na schody. Uczułem w sobie niewypowiedzianą rozkoszną dumę, widząc się tak

obrońcą i podporą Helenki! W pacholęciu odezwał się mężczyzna. Radowało mnie niesłychanie, że mogłem mojéj towarzyszce zaimponować rycerską odwagą w niebezpieczeństwie.

Radość moja jednakże niedługo trwała, bo zaledwie stanęliśmy szczęśliwie w domu pana marszałka, gdzie był także mój ojciec, a Helenka na pół omdlała i jak kréda blada opowiedziała co zaszło, otrzymałem *eo instante* od ojca, porządną, choć dorywczą chłostę, i odesłany zostałem pod eskortą starego pajuka Onufrego do domu, wśród najboleśniejszych circumstancyj, bo właśnie w téj chwili, kiedy panna Kokorzyńska zastawiała smaczne przekąski do kawy.

Atoli smutne wrażenia, które nastąpiły po naszéj awanturze, rychło się zatarły. Niebawem dozwolony mi był znowu wstęp do pana marszałka Oleszy i jego wnuczki. Pierwszą rzeczą było zaspokojenie ciekawości co do tajemniczego obrazu. Zmówiwszy się tedy z Helenką, poczęliśmy wypytywać pana marszałka, co to za obraz i co ma znaczyć...

— To konterfekt wujaszka Helenki—objaśnił nas pan Olesza.

— Nie potrzebuję takiego brzydkiego wujaszka! — zawołała, krzywiąc się, Helenka.

— A cóż on za jeden, ten wujaszek?—zapytałem.

— Patrzajcie wisusa, jaki ciekawy! mruknął pan Olesza, ale dodał zaraz:—Jenerał, malcze...

Ale na tém też skończyły się wyjaśnienia. Od tego czasu, mimo zakazów pana marszałka, biegaliśmy często do izby basztowéj na pierwszém piętrze, aby się przypatrywać obrazowi, który takiego przestrachu był przyczyną. Oddawaliśmy często wizyty wujaszkowi, czyli, jak go zwaliśmy zazwyczaj „żółtemu wujaszkowi.” Niebawem spoufaliliśmy się z nim aż do impertynencyi kłaniając mu się i przedrzeźniając. Helenka jednak od czasu, gdy się dowiedziała i uwierzyła że portret przedstawia jéj wujaszka, patrzała z pewném poszanowaniem na obraz, ale ja płatałem figle i psoty żółtemu wujaszkowi, wybierając nieraz nos jego duży za cel pocisków orzechami.

Poczciwy „żółty wujaszek” znosił wszystko z świętą cierpliwością, tak, że pokochaliśmy się z nim naprawdę. Nie mogłem wytrzymać jednego dnia aby go nie odwiedzić! Toż zrósł się żółty wujaszek z mojemi dziecinnemi wspomnieniami ściśle, a przecież miał spleść się w dziwniejszy jeszcze sposób z życiem późniejszém.



Welingtonia (Welingtonia gigantea). (Str. 35.)

Rosłem tymczasem na wierutnego wisusa. Miałem lat czternaście, kiedy ojciec mój począł zastanawiać się nad tém, co będzie z takiego urwisa. Zwiódł nareszcie walną naradę z panem marszałkiem i taki onéj był rezultat:

— Chłopak wyrośnie mi na dzika albo na babiarza, bo albo po czeladni się kręci, albo z panną Kokorzyńską i Helenką się zabawia. Już zeń wyrostek, wąsa co ino nie widać, a ledwie go ksiądz Ignacy w czytaniu przećwiczył. Ergo, fora z Basztokola, pod szkolną dyscyplinę i do Alwara z paniczem, aby się, kiedy fortuny Bóg nie dał, mógł własnymi zęby przegryźć przez życie, jak to szlacheckiemu dziecku przystało.

I owo tak się stało, że za dni kilkanaście po téj naradzie, znalazłem się z ks. Ignacym, którego w tym celu uproszono, we Lwowie, w szkolnym konwikcie. Wszystko to stało się tak prędko, że nie miałem nawet czasu pożegnać się, jak się należało, z panem marszałkiem Oleszą, z Helenką, z panną Kokorzyńską i—z żółtym wujaszkiem.

Śniło mi się tylko, w ostatnią noc przed odjazdem, że stanął przedemną żółty wujaszek, trzymając za rękę Helenkę i mrugnąwszy do mnie oczyma, rzekł coś tak, jakby: Dowidzenia!

II.

Miał wielką racyą kochany mój ojciec, wysyłając mnie co prędzéj do szkół lwowskich, bo istotnie kaduk wie, coby ze mnie było urosło w Basztokolu. Jakoż, choć mi się z razu serce padało od żałości za ojcem i za wszystkiemi, których zostawiłem, to przecież wkrótce sam w mym chłopięcym rozumie uznałem, że czas był najwyższy zacząć się przecierać i szlifować między ludźmi i w naukach.

Ojciec, acz skąpéj bardzo fortunki był szlachetką, nie żałował ani kosztów, ani starania, i miałem pomieszczenie w konwikcie pana Borszy, przeznaczonym dla szlacheckich dzieci. Jakżeż mi się ciężko sromać przyszło, gdy ja, piętnastoletni już drągal, a nadto chłop nad wiek i lata zmężniały, znalazłem się obok mniejszych i młodszych pacholąt, z których każde zakasować mnie mogło swoją nauką!...

Szczęściem, byłem hardéj duszy i niepospolitéj ambicyi, więc nie czekałem admonicyi pana Borszy, ale zabrałem się tęgo do nauki, a że mi też Bóg trochę sprytu i przyrodzonych nie odmówił zdolności, więc rychło zrozumiałem się z towarzyszami. W domu ks. Ignacy przynajmniéj mnie troszeczkę podćwiczył w łacinie — początek więc był ladajaki, byle daléj głową nadrabiać!

Za trzy lata niktby nawet nie był poznał wisusa z Basztokola, tak się przepolerowałem na ławie szkolnéj. Ojciec zamyślał, abym się oddał zawodowi palestranckiemu, bo to zawsze najzyskowniejsza była kondycya i z prozapią zgodna. Ale palestry polskiéj, już wówczas nie było ani w Lublinie, ani nawet we Lwowie, gdzie Niemcy już tego czasu wszystko byli z gruntu powywracali.

Aby się dostać do forum szlacheckiego, trzeba było długo i dobrze ćwiczyć się po niemiecku, a na mecenasa wychrapać się było niesłychanie trudno. Czy to przewidywanie tych trudności, czy zrządzenie losu było, czy wreszcie moja niesforna natura ku temu skierowała, dość, że zamiast przejść po regule szkoły, wziąłem się do cale innego kunsztu, o którym pewnie nigdy mój ojciec nie myślał, a i ja nigdy przedtém myśleć nie mogłem.

Miałem kolegę, poczciwego chłopaka, który porzucił szkoły, i idąc za skłonnością wrodzoną, poszedł na naukę do malarza włocha, *signora Gracca*, który mieszkał we Lwowie, a był ogromnie wzięty i lubiany, bo kunsztmistrz miał być nielada. Razu jednego przyszedłem odwiedzić mego towarzysza w malarskiéj pracowni. Widok jéj niesłychanie mnie zajął i imaginacyą młodocianą do głębi poruszył. Oprócz poczciwego żółtego wujaszka i obrazów kościelnych, nie widziałem żadnych prawie malowideł, a tu cały bezlik ujrzałem.

W dużéj, wysokiéj i jasnéj pracowni, porozwieszane były naj-

rozmaitsze obrazy w ślicznych, złoconych ramach, a wabiły mnie przepychem kolorów i rozmaitością treści. Patrzyłem się i napatrzéć nie mogłem na te gotowe już, lub malujące się dopiero obrazy, wystawiające to sceny mitologiczne, to konterfekty, to bitwy rycerstwa i t. d. *Signor Gracco* utrzymywał całą szkołę, mnóstwo uczniów zajętych było zawsze w sali. Począłem się w duszy z zapałem unosić nad tém, co to za piękny kunszt jest to malarstwo!

Raz mnie mój przyjaciel zawiódł do samego sanctissimum, to jest do gabinetu samego mistrza, *signora Gracca*. Ujrzałem tam mnóstwo pięknych rzeczy, a między innemi zwróciło moję uwagę płótno ogromne, obciągnięte białą farbą, na którém węglem porobione były niezgrabne esy i floresy, wywijasy i zygzaki, brzydko i niezgrabnie, jak mi się to zdało.

— To śliczny będzie obraz!—zauważył mój przyjaciel, a gdy mu się zaśmiałem w oczy, kazał mi przyjść za kilka tygodni.

Kiedy przyszedłem, zaprowadził mnie znowu do gabinetu mistrza, i o cudo! z tych zygzaków i bohomazów wyrósł przepyszny obraz!...

Przedstawiał on bitwę chrześcijańskiego rycerstwa, podobno nawet naszego polskiego, z bisurmanami. Śliczny to był widok i oka od niego oderwać nie mogłem! Czarodziejstwo sztuki, która zda się od Stwórcy wzięła sobie moc stwarzania z niczego, olśniła mnie i taki potężny wpływ wywarła na młody umysł—że, ot—aby długo nie rozpowiadać, za kilka dni byłem w pracowni malarskiéj jako uczeń.

Chodziłem obok tego i do szkoły, ale co to była za nauka! Straciłem do niéj z kretesem ochotę i całą duszą oddałem się malarstwu. Za dwa lata już próbowałem nawet w kompozycyach, a cóż dopiero była za radość, gdy p. Stachowicz, sławny na on czas malarz polski, bawiąc we Lwowie przez czas jakiś i odwiedziwszy pracownię *Gracca*, pochwalił jeden z moich bohomazów i talent malarski mi przyznał!

Babrałem się w tych farbach z prawdziwym zapałem, gdy razu jednego do mnie z Basztokola zawitał ks. Ignacy, a gdy się z obięć moich serdecznych wywinął, opowiedział, że przyjeżdża po mnie, że ojciec mój mocno niedomaga i gospodarki już pilnować niezdolny, że straciwszy nadzieję, aby się na moję naukę łożone koszta wypłaciły, uważa że jakoś ze mnie nie będzie pociechy ani dla ołtarza, ani dla kałamarza; żem trochę zagłupi, aby zostać starostą, a zanadto mądry, aby dać z siebie zrobić kapucyna i t. d. i t. d., że zatém każe mi się pakować i wracać na wieś, *stante pede*.

Zawitałem tedy nazad do kochanego Basztokola. Miałem już lat dziewiętnaście, urosłem w chłopa sążnistego, wąs mi się gęsto wysypał pod nosem—tak, że mnie mało kto poznał, a nikt się dosyć nadziwić nie mógł. Osobliwie dziwne było nasze powitanie z Helenką. Ja witając się z panem marszałkiem Olleszą pytałem skwapliwie o Helenkę, myśląc, że wybiegnie do mnie jak dawniéj maluczkie dziewczątko w loczkach i różowéj sukience — ona zaś usłyszawszy, że wrócił Józio, wyrwała się z drugiego pokoju, pewna także, że obaczy znajomego sobie malca w parcianym chałaciku.

Jakież było nasze zdziwienie, kiedyśmy się nagle po pięciu latach ujrzeli!

— Józio! zawołała Helenka, lecz ujrzawszy przed sobą wysokiego młodziana, z męzką już prawie twarzą i z małym wąsikiem, zarumieniła się i poprawiła:

— Pan Józef....

— Panna Helena! — zawołałem uradowany, i gdybym się był zawczasu nie umitygował, byłbym objął Helenkę, uściskał i ucałował po dawnemu.

Co za przecudne dziecko zrobiło się z Helenki! Miała wówczas lat zaledwie piętnaście i podobną była do pączka, który zda się ci pod okiem w pełny kwiat wystrzelał. Biała, nadobna twarzyczka odbijała prześlicznie od czarnych włosów w warkocze splecionych; oczki pałające ogniem, złagodzonym dziewczęcą skromnością, rzucały uroczemi spojrzeniami a na rumianych usteczkach kwitnął słodki wdzięk pustoty i wesołości.

Zmięszała się i wdzięcznie zapłoniła, widząc przed sobą dawnego towarzysza zabaw dziecinnych, ale po chwili podniosła swój wzrok i zmierzyła mnie nim ciekawie,że aż spuściłem oczy i żakiem się prawdziwym uczułem. Źle się musiałem przedstawić pannie Helenie, bo już tak ją teraz nazywać wypadało, gdyż palony jéj spojrzeniem, wyglądałem bardzo nieśmiało i niezgrabnie. Za to panna Helena sprawiła na mnie odrazu głębokie wrażenie, uwięziwszy mnie w czarownym kole swych powabów.

Wrażenie to połączone ze wspomnieniami lat dziecinnych, otoczyło ją w imaginacyi mojéj niewypowiedzianym urokiem, a pierwsza noc spędzona pod dachem rodzinnym, poświęcona była lubym rozmyślaniom, jak to szybko i pięknie panny rosną, i jak to źle że dziwiąc się temu, zapomniałem języka w gębie.

Wielce się zdziwił i zgorszył mój śp. ojciec, gdy na drugi dzień z rana ujrzał, że zamiast pochlebnych świadectw szkolnych, wyciągam z mego podróżnego węzełka zabazgrane ołówkiem papiery i malowane płótna, farby i pędzle. Gdym się zwierzył przed nim, czém się też po za szkołą trudniłem, zgniewał się niepomału, bo jako człowiekowi staréj daty, wydało się mu to całe niepoczesną, próżniacką zabawką, niegodną szlacheckiéj kondycyi.

— Widzę już dobrze—ofuknął—że z waści nie będzie już pożytku dla nauki, i że nie czepia się ona twéj pustéj pałki. Zostań tedy, a ucz się koło roli chodzić i zostać szlachetką, kiedyś się nie chciał w świecie forytować.

Zostałem tedy w domu, a długo znosić musiałem gorzkie przymówki ojca, do których dołączał także swe ucinki i pan marszałek Olesza. Ale jakoś w kilka tygodni zdołałem udobruchać starych. Z początku to mi kazano taradajkę zieloną na nowo malować, to kredens odświeżyć, śmiejąc się, gdy mi indygnacya twarz paliła — ale gdym wymalował św. Stanisława do głównego ołtarza w kościołku, za którą to niespodziankę ksiądz Ignacy ze łzami mnie prawie wyściskał i wycałował, gdym wymalował portret ojca i pana marszałka a najpiękniejszy Helenki, bo weń nietylko cały mój kunszt ale i całą duszę przelać pragnąłem—to jakoś mniéj już krzywém okiem poczęto patrzeć na biednego malarczyka i przynajmniéj swobodnie malować pozwolono.

Przy tém wszystkiém jednak musiałem się szczerze wziąć do gospodarstwa i wyręczać ojca we wszystkiem, bo i życzył sobie tego i nadto sam już, niedomagając często, zajmować się tą pracą nie mógł. Tak więc, rozpocząłem żyć nowym dla mnie, ale pilnym, pracowitym trybem. Położyłem też wkrótce krzyżyk na wszystkie zamysły i zachcianki, które z sobą wywiozłem z stolicy—i pogodziłem się z myślą, spędzić żywot cały w zaciszu Basztokola. Bogiem a prawdą, nie przyszła mi tak trudno ta rezygnacya, bo wiedziałem, że skromne to i jednostajne życie, opromieni mi sztuka, którą, choć w niéj byłem partaczem, ukochałem naprawdę i—oczy prześliczne Helenki.

Z panną Heleną odnowiłem wkrótce przerwane długiém rozłączeniem stosunki—a choć nie mogły być one tak swobodne i puste jak były przed laty, choć poczciwa panna Agnieszka Kokorzyńska nie dała już nam teraz ani chwilki pozostać sam na sam, przecież zespalały one nas coraz głębszém, coraz silniejszém ogniwem uczucia, którego jednak żadne z nas, nawet w chwili marzenia, w najtajniejszéj myśli swéj, nie ośmieliło się zapewne nazwać po właściwém imieniu.

Jednego razu, a było to jakoś w święto czy niedzielę, byłem wraz z ojcem u pana marszałka Oleszy. Pan marszałek opowiadał jak zawsze, o panu wojewodzie Łosiu i o dworze Narolskim, a ja usiłowałem według jego informacyi nakreślić konterfekt pana wojewody, co jednak w żaden sposób udać mi się nie chciało. Wszystko zdaniem pana marszałka było podobne; buty, pas i kontusz i czupryna nawet podgolona, tylko nosa pana wojowody ani rusz było trafić dokładnie. Rysowałem tedy i mazałem śród wesołego i dźwięcznego uśmiechu panny Heleny, gdy naraz rzekł pan marszałek:

— Daj wasze pokój panu senatorowi i jego nosowi, który niech spoczywa w Bogu, (t. j. pan senator a nie nos jego)—a kiedy już chcesz mieć coś do roboty, to ci przypomnę starego przyjaciela, o którym już ty i Helenka zapomnieliście snać na wieki!

— Któż taki? — zapytaliśmy równocześnie z panną Heleną.

— A wujaszek z basztowego piętra!

— Żółty wujaszek! Żółty wujaszek! zawołałem uderzając w dłonie, i trudno mi było pojąć, jak mogłem zapomnieć o żółtym wujaszku i nie powitać dotąd towarzysza figlów dziecinnych.

— Ale niechże dziadunio powie nam choć teraz, kto był ten żółty wujaszek?—zapytała Helenka.

— Jest to pan Jost Suchorzewski, brat przyrodni twojéj matki, Helenko — rzekł pan marszałek. — Rodzina Suchorzewskich oddana była zawsze całą duszą partyi saskiéj i lubianą była bardzo przy dworze obu sasów. Pan Jost Suchorzewski wstąpił nawet do wojska saskiego, a August III zrobił go saskim generałem. Jako taki, generał wymalowanym jest na owym starym konterfekcie w komnacie basztowéj.

— I znał go osobiście pan marszałek dobrodziéj?—zapytałem.

— Raz tylko jeden widziałem go, choć z nim wtedy nie mówiłem.

— I nie poznałeś go dziaduniu bliżéj, choć był naszym krewnym?—zapytała Helenka.

— Nie starałem się o to—odparł pan Olesza—bo taki był mój zwyczaj, nie pchać się do wielkich panów, choćby byli w pokrewieństwie. Jeżeli chciał znajomości, to mógł się o mnie tak dopytać, jak ja o niego. Niech mu to będzie niewymowném i nie wymawiam też

broń Boże, bo nie stałem o niego i nie stoję, ale nie pamiętał nigdy o swojéj rodzinie.

— Więc i za życia matki wuj nie zbliżył się do nas?—zapytała Helenka.

— Nigdyśmy o nim ani marnego słówka nie słyszeli, nigdy też nikt się z naszéj familji nie zgłaszał do niego... Słyszałem tylko o nim dużo i to niebardzo piękne rzeczy. Opowiadano, że był farmazonem i niedowiarkiem, a lubił się też i w gamrata zabawić!

— Czy był żonatym? —zapytałem.

— Nie, podobno. Ale w romansy się plątał niefortunne. Zawsze się jakiéjś Niemkini dopytał, co go potém za nos wodziła po swojemu. Ale stary przeżywał wszystko, a co mu jedna z karku spadła, to drugiéj się przypytał.

— To pan generał Jost musi być bardzo już wiekowym?

— Jeżeli jest — odpowiedział pan Olesza — choć wątpię, aby żył dotąd. Starszy był odemnie, a przecież mi już półósma krzyża. Ale oto co chciałem powiedzieć, panie malarzu. Warto abyś go odmalował na świeżo, bo już gdzieś proch zjeść go musiał w baszcie.

— Z największą chęcią—zawołałem—i tak godzi się odwiedzić starego znajomego. Panno Heleno, może zrobimy wizytę żółtemu wujaszkowi?

Nad moje spodziewanie, panna Helena zgodziła się na propozycyą, a że panna Agnieszka gdzieś się w swéj apteczce zakopała, więc poszliśmy sami na wieżę basztową. Podałem ramię Helence, przypominając, że tak w objęciu przed laty szliśmy po raz pierwszy na basztę, ale dostałem rekuzę i szliśmy tylko obok siebie. Mój Boże, jak to się zmieniło w staréj baszcie! Stare mury nie chciały przyjąć wapna, którém je pan Olesza dał obielić — nowy tynk opadł, jakby nie był,—wszystko było szare i ponure. (d. c. n.)

WIĄZANKA.

Aniśmy się spodziewali, że dzisiejszą pogadankę rozpoczniemy wielce pożądaną wiadomością.—Jaką? zapyta mnie niejeden. Może Opera włoska, czasowo goszcząca w Warszawie, obdarzy nas czémś w rodzaju „Hrabiego Ory“ Rossiniego, granego jeszcze ongi na scenie byłego teatru przy placu Krasińskich, przed czterdziestu przeszło laty?—Nie. Nie będąc wcale zwolennikami *włoszczyzny*, mało ona nas obchodzi i wszystko mi jedno co gra, jak gra, kiedy i jak długo grać jeszcze będzie. Może mnie kto nazwie dziwakiem—mniejsza o to, ale przyznam się wszem wobec, jawnie i otwarcie iż wolę jednę naszą serdeczną „Halkę“ niż cały repertuar italjański, z ich primadonnami, sopranami, tenorami, bassobufami i tym podobnemi arcykosztownemi znakomitościami. A więc nie. — To cóż? Może przybycie młodéj i pięknéj szwedki, nazwiskiem Drosth, która swemi oczami gromi dzikie zwierzęta, w menażeryi p. Kreutzberga?—Nie. Zresztą, nic to nadzwyczajnego. Nasze śliczne panie poskramiają i podbijają daleko dziksze zwierzęta, a nikt im się przecie nie dziwi i nie wędrują z tém na pokazanie do Sztokholmu..... Więc cóż? — Może to, że niebawem ma przyjechać do Warszawy Józef Servais, syn znanego wiolonczelisty, liczący się już dziś do znakomitości, chociaż nie ma jeszcze 20-tu lat życia? Może koncerty młodziutkiéj p. Laury Kahrer? No, cóż takiego? powiedzże nieznośny gaduło.—Nie, mam coś innego do powiedzenia— coś takiego, co odrazu chwyta za serce i przemawia do duszy tak, jak poranny promień majowego słonka. Czytelniku, czy słyszałeś kiedy o mękach Tantala? Czy wiesz, co to znaczy chcieć, pragnąć, łaknąć wiedzy, a nie módz jéj nabyć z przyczyny braku materyalnych środków. Czy widziałeś młodzieńca pochylonego nad książką, w zimnéj, ciemnéj i ciasnéj izdebce, w wytartém ubraniu, pracującego od świtu do późnéj nocy, przy bladym kaganku światła, o chlebie i o wodzie, pozbawionego troską o byt powszedni najpiękniejszego kwiatu młodości — rumieńca na poważnéj twarzy? Czy widziałeś rozpacz tych, którzy nie mogąc dojść do zamierzonego celu, z przyczyny niedostatku, zmuszeni zostali opuszczać świątynię nauk i żegnać się nazawsze z najszlachetniejszemi swemi nadziejami przyszłości, z nadziejami biednych rodziców a może i całego kraju? Jeżeli czytelniku tego nie widziałeś, to nie widziałeś obrazu boleści. Obraz ten przesuwa się codziennie przed naszemi oczami, tylko że niejeden nie chce, nie umie nań spojrzeć, dotknąć się jego rzeczywistości i zapobiedz jego rezultatom, choć jest to obowiązkiem całego naszego społeczeństwa, a obowiązkiem nieskończenie większym niż protegotowanie *włoszczyzny*, obcych wirtuozów, afrykańskich zwierząt, ich pogromicieli, linoskoków i tym podobnych indywiduów. Na pociechę jednak wyznać dziś musimy, że pomyślano nareszcie u nas i o téj palącéj kwestji. Dzięki panu Maurycemu Orgelbrandowi i kilku innym ludziom zacnéj i poczciwéj myśli, stanął niedawno projekt *Stowarzyszenia pomocy dla kształcącéj się naukowo niezamożnéj młodzieży* obojga płci, bez różnicy wyznania i stanu, a kształcącéj się w rządowych lub prywatnych zakładach naukowych wszelkich stopni. Potrzeba podobnego stowarzyszenia dawno już u nas czuć się dawała, dla tego też projekt ów, mogący nam oddać w przyszłości nieobliczone umysłowe i materyalne korzyści, witamy z zapałem i życzymy mu jaknajprędszego i jaknajszerszego rozwoju, z tém błogiém przekonaniem, że publiczność naszą chętnie poprze czynem znakomite dzieło zbawienia setek ginącéj marnie młodzieży—onego kwiatu, pozbawionego częstokroć światła i ciepła, z przyczyny strasznego niedostatku. — Nie od rzeczy będzie tu także nadmienić, że koncert na dochód niezamożnych studentów tutejszego uniwersytetu, pod dyrekcją p. St. Moniuszki, odbędzie się w nadchodzącą niedzielę t. j. jutro. Sądzę iż Warszawa, jak dawniéj tak i teraz, nie będzie potrzebowała wstydzić się za siebie, mając możność opromienienia sobie kilku chwil życia świętym, najpiękniejszym celem: *pożyczki, na rzecz oświaty*.

Z dziedziny literatury zanotować nam przychodzi następujące tylko fakta:

Niedawno wyszła broszura p. t. *Pogląd na kwestję ludowéj oświaty*, przez Bronisława Romana Przerembel. Jest to odbitka zamieszczona poprzednio w *Ekonomiście* z r. 1870, w kwartale II i III.—Opuścił także prasę *Rocznik Sądowy*, na r. 1871.

Do rzędu 34-ch pism perjodycznych w Warszawie, przybyła jeszcze i *Gazeta Anonsowa* (jeżeli można ją nazwać pismem perjodycznem), któréj wydawcą i redaktorem jest pan Wędrychowski. Zadaniem téj *Gazety* jest umieszczanie samych ogłoszeń, nakształt płatnych dodatków w obu Kurjerach.

Gazeta Kielecka, wychodząca dwa razy na tydzień, w Niedzielę i Czwartek, powiększywszy z początkiem bieżącego roku swój format, staje się coraz bardziéj odpowiadającą celowi pisma prowincyonalnego, przez streszczanie w sobie wiadomości miejscowych i podnoszenie kwestyj ważnych nietylko dla samych mieszkańców Kielc ale i dla całéj okolicy. Radzimy szczerze Radakcyj wytrwać stale na obranéj drodze, a mamy nadzieję że przy ciągłym postępie i udoskonalaniu się organ jéj niemało oddać może publiczności usługi. W miejsce lada jakich powiastek, jakiemi dziś niektóre pisma nas karmią, upraszamy Gazetę Kielecką, w brew opinii *Przeglądu Tygodniowego*, o jak najczęstsze zamieszczanie w szpaltach swoich *podań i legend*—tych prawdziwych skarbów literatury ludowéj, nad wydobywaniem których, mężowie nauki i uznanéj sławy, lata całe trawili.

Słyszeliśmy o mających się z czasem ukazać u nas dwóch niezależnych od siebie nadzwyczaj pożytecznych wydawnictwach, a mianowicie: *Encyklopedyi wszystkich umiejętności* i *Encyklopedyi umiejętności Rolniczych*. Szczęść Boże poczciwéj pracy!

Nakładem J. Kaufmana wyszedł z druku I-y zeszyt, dawno oczekiwanéj i zapowiadanéj, *Księgi Pieśni*, obejmujący w sobie prześliczny znany poemat Juljusza Sławackiego: w Szwajcaryi—i wiersz Deotmy: Nad Potokiem. Jeżeli dalsze zeszyty wyborem swoim odpowiedzą pierwszemu, to nie wypada nam nic innego uczynić, jak tylko poprzeć serdecznie to piękne pod każdym względem wydawnictwo.

W Poznaniu mają zamiar urządzić szkoły wieczorne dla czeladzi i uczniów rzemieślniczych, bo stan umysłowości w téj klasie ludzi jest tam podobno bardzo zaniedbany.—Prócz tego w Żabikowie pod Poznaniem, dzięki hr. Augustowi Cieszkowskiemu i spółce p. n. Bazar, założono szkołę rolniczą: *Halinę*, któréj dyrektorem został Dr. Juljusz Au, Poznańczyk.

Dowiadujemy się z *Wędrowca*, iż dramat Puszkina „Borys Godunow,“ został przełożony na język polski przez ś. p. Juljana Bartoszewicza. Zasłużony historyk zostawił także w rękopiśmie przekłady: „Gryzelda“ Halma, „Dom zaczarowany“ Austenberga i „Gość kamienny“ Puszkina.

Odczyty publiczne znów się rozpowszechniają w Warszawie. Nie mamy nic przeciwko takowym, jak tę tylko chyba zrobić uwagę, aby na katedrę wstępowała większa ilość *wybranych*, niż to miało miejsce w roku zeszłym. Katedra jest pewnego rodzaju kazalnicą, nie zaś kawalerskim fotelem; a do wystąpienia z prawdami nauki, potrzeba czegoś więcéj aniżeli saméj cywilnéj odwagi. Odczyty na korzyść Towarzystwa Dobroczynności rozpoczął w bieżącym roku, p. M. Kamiński, o sposobach nauczenia się czytać w 24 lekcyach—i p. Scheller dentysta, o utracie zębów i środkach zapobiegających temu.—Oprócz owych prelekcyj na Dobroczynność i stałych w *Zakładzie nauki dla kobiet*, odbywają się jeszcze od czasu do czasu w sali Stowarzyszenia subjektów Warszawskich i w Harmonii. Zdaje mi się, że odmówiwszy sobie kilku kufelków piwa, kilku pączków i kilku niepotrzebnych fatałaszków, możnaby w powyższych miejscach bardzo przyjemnie nie jednę zmarnowaną chwilę życia przepędzić... Co to szkodzi, że będziemy wyglądali poważniéj? Owszem.

Godną jest także wspomnienia wiadomość, tycząca się nowéj fazy naszego jedwabnictwa. Ludzie dobréj woli, składający teraźniejszy Zarząd Spółki Jedwabniczéj, pomyśleli o istotnéj potrzebie kraju, przez obudzenie uśpionego pszczolnictwa i zaproszenie takowego do wspólnéj pracy, jaką przedstawia plantacya morwowa na Czystém, pod Warszawą, własnością Spółki Jedwabniczéj będąca. I rzeczywiście, myśl to szczęśliwa. Pszczolnictwo z jedwabnictwem mogą iść ręka w rękę, o jednych niemal środkach materyalnych. Plantacya morwowa daje liść na pokarm dla jedwabników, z których to liści i kwiatów, poprzednio jeszcze pszczoła miód zbierać może. Plantacya i wychowalnia jedwabników, położone w miododajnéj okolicy, przedstawiają wszelkie warunki ku założeniu wzorowéj pasieki, za którą kraj wdzięczny będzie Spółce Jedwabniczéj, bo z takowéj powstanie nowe pokolenie postępowych pszczolarzy, których istotny brak boleśnie, ze szkodą pszczolnictwa, dał się już uczuwać. Dziś, kiedy ziemianin, nie mogąc dla braku kapitałów, dobrze gospodarzyć na zagonie — dziś — chwytać się on musi drobniejszego przemysłu rolniczego, aby pozyskać ów *nerw* społeczny, t. j. pieniądz; ręczymy jednak, że wziąwszy się za urządzenie pasiek, nie zawiedzie się na tém.—Do téj kategorji obudzającego się życia przemysłowego, zaliczyć także można projekt zasłużonego *Wojciecha Jastrzębowskiego*, który zamierza kosztem własnym, założyć szkółkę pożytecznych, a już prawie ginących drzew, takich jak: modrzew, jawor, buk i t. p.

Szkółka ta, owoc ostatniéj pracy sędziwego starca, ma być poniekąd rozsadnikiem dla całego kraju.

Na tych słowach mógłbym już i zakończyć niniejszą Wiązankę, gdyby nie Kraszewski. Jakto, zapyta mnie niejeden brzydki czytelnik lub piękna czytelniczka, a cóż wspólnego ma z panem Kraszewski? —Zobaczymy, zobaczymy — cierpliwości! Po przeczytaniu jednéj z najświeższych jego powieści: *W mętnéj wodzie*, ogarnęło mnie coś, sam nie wiem co— jakieś oczarowanie. Autor mistrzowskiém swém piórem maluje w niéj stosunki dziennikarskie, w jedném z miast naszych prowincyonalnych. Rzecz pojęta wzniośle i przedstawiona z godnością. Pewien spekulant dziennikarz ucieka się do najniegodziwszych ostateczności, aby zabić w zarodzie drugą gazetę przez ludzi dobréj woli zakładaną. Cel u niego uświęca środki — dopina celu intrygami i powala przeciwnika o ziemię. Ot i koniec dramatu, którego treść obrusza wprawdzie uczucie godności, ale że przeprowadzona z talentem, czyta się więc chciwie, z zajęciem, tymbardziéj: iż jest odbiciem, niestety— rzeczywistości. To co powiedział Kraszewski w powieści, są to wypadki na które zdaje się jakby się patrzyło własnemi oczami. Oczarowanie spłynęło na nas z mistrzowskiego władania piórem autora. I pomyślałem sobie: gdyby to Kraszewski wziął za przedmiot do powieści nasze stosunki redakcyjno-wydawnicze, gdyby wyświetlił z prawdą i odwagą owe mierności szkólnych ławek, które niedouczywszy się gramatyki, chwytają za togę krytyka i piszą absurda, których nawet zrozumieć trudno—gdyby np. schłostał biczem poważnéj satyry zachcianki świeżo wylęgłéj *Muchy*, — zrobiłby wtedy prawdziwą przysługę literaturze, odpędzając precz dopiero co wykluty owad. Co zaś do nas, występując obecnie po raz ostatni, przeciw fałszywemu apetytowi i zachciankom *Muchy*, będziemy przynajmniéj mieli tę moralną zasługę, żeśmy uczynili zadość obowiązkom *Opiekuna Domowego*, ostrzegając rodziny przed *spekulacyjnemi* dążnościami powyższego pisemka, nad które już nieskończenie wyżéj stawiamy, choćby naprzykład, taki *Kalendarz* wydany przez *Zakład czyszczenia pierzy i puchu*, na rok 1871, jako daleko pożyteczniejszy i dowcipniejszy.

△



Krawiec wiejski. (Typ prowincyonalny).

ROZMAITOSCI.

— **Wynalazek omnibusów.** Mnóstwo rzeczy które się nam wydają nowemi wynalazkami, w istocie już parę razy wprzód przez ludzi były wymyślone i zarzucone. W zbiorach Pompejańskich w Neapolu, przypatrujemy się Grecko-rzymskim samowarom, bardzo pięknych kształtów, misternéj budowy, zupełnie co do pomysłu podobnym do tych, które z Chin przez Rossyą do nas przyszły. Są uczeni co dowodzą, że złociste pręty, któremi cały dach w kościele Jerozolimskim był najeżony, nie czém inném były tylko konduktorami od piorunów, i t. p.

Skromny ten wynalazek, który się Omnibusem nazywa, niesłusznie uchodzi na nowość. Pierwszym który wspólną taką jazdę w Paryżu urządził, był sławny Pascal, autor „Myśli i listów z prowincyi." Było to w r. 1662. Pomysł Pascala przyprowadził do skutku książe Roaunes jego przyjaciel i dwaj dworacy wersalscy, margrabiowie de Creneau i Sourches. Dostali oni od króla przywiléj, gdyż wszystko naówczas musiało być uprzywilejowaném i monopolem, z d. 2 Lutego t. r. do przewożenia po Paryżu podróżnych, tak jak dyliżanse woziły ich po kraju. Pierwsze omnibusy krążyły od Porte St. Antoine do Luksemburgskiego pałacu; a było ich początkowo siedm. — Woźnice mieli fraki niebieskie z herbami króla i miasta; płaciło się za przejażdżkę pięć sous, które podróżny powinien był mieć gotowe, aby nie nudzić się rachunkiem monety zdawkowéj. Pani Perier, siostra Pascala, w listach swych pisze, iż za ukazaniem się tych powozów, od razu zostawały przepełnione; jeździły nimi nawet panie. — Stworzono wkrótce drugą linię między ulicą St. Honoré, a kościołem Ś-go Rocha.

Ale w rok potém omnibusy znikły; owczesna społeczność tego zrównania stanów, w obec pięciu sous, znieść nie mogła... Cisnęły się różne figury: żołnierze, rzemieślnicy, lokaje, czeladź... Skutkiem tego królewskie rozporządzenie zabroniło użycia omnibusów wszystkim im, oprócz szlachty i mieszczan Paryża... Zaczęto prześmiewać i rozkaz i wypadki wynikające ze ścisku w powozach... Paryżanie wydrwili omnibusy; nikt do nich nie siadał i Pascal'a myśl zarzuconą została, aż do naszych czasów—w których ją znowu podjęto.

Ale Rotschild miał słuszność mówić, że nie jest dość bogatym by mógł jeździć omnibusami, bo w Paryżu strata czasu na nie, jest ogromna. Trzeba mieć wiele godzin do stracenia, a bardzo mało pieniędzy, aby się nimi posługiwać.

— **Ludzie kamiennéj epoki.** W ostatnich czasach zupełnie dotąd dla nas zakryta historja pierwotnego bytu ludzi na ziemi, poszukiwaniami uczonych archeologów, etnologów, naturalistów, w sposób wcale niespodziany, rozświeconą została. — Znaleziono szczątki człowieka i pracy ludzkiéj przedpotopowéj, nauczono się badać skorupki, kamyki, warstwy ziemi, które na zapytania nauki odpowiadać muszą. W ten sposób odbudowano nie na fantazyjnych mrzonkach, ale na faktach i przedmiotowych dowodach, cały ów świat zapomniany, który był kolebką ludzkości!

Ze sprzętu można odgadnąć, wywnioskować epokę i cywilizacją, tak jak Cuvier z zęba i kości, odgadywał zwierzę całe. Związek pewnych faktów i zjawisk jest tak ścisły, tak konieczny, iż jedno odkrycie, naprowadza na drugie.

Mamy więc dziś, o tych epokach odległych, bardzo ciekawe badania, w zajmujący sposób ułożone i stanowiące pewną spójną całość—obraz jednolity. Trzydzieści już lat temu, próbę takiego wizerunku społeczeństwa, skreślił Szwedzki uczony i wydał pod tytułem: „Wiek kamienny, czyli pierwotni mieszkańcy Skandynawskiéj północy".

Dzieło to, acz bardzo sumiennie opracowane, mniéjsze uczyniło może wrażenie, niż uczynić było powinno. Doszło przecież do trzech wydań, coraz wydoskonalających się i nowemi poszukiwaniami wzbogaconych.

Z trzeciego przerobionego wydania Szwedzkiego téj książki, tłumaczenie Niemieckie J. Mesdorfa, ukazało się właśnie niedawno w Hamburgu. Nie samych uczonych zajmie ono tylko. Autor J. Nilson, botanik z powołania i profesor botaniki w Lundzie, od młodości poświęcił się botanicznym, a obok tego, etnograficzno - archeologicznym studjom. W celu badań objechał całą Europę, zwiedził muzea w Paryżu, Londynie, Bristolu i sam znakomity sobie zbiór utworzył.

Dzieło jego o téj epoce życia ludzi, w któréj się kamieniem posługiwali, zawiera niezmierną ilość faktów ciekawych, opisów i badań ustawionych bardzo szczęśliwie, objaśnia ono także o powstaniu wielu mythów, baśni i podań ludowych. Dołączone tablice i rysunki kamiennych narzędzi, wyjaśniają opisane przedmioty. My mamy niedawno wydane zmarłego hr. Tyszkiewicza dzieło, o kurchanach w tymże przedmiocie. Żadnego jednak dotąd systematycznego przeglądu zabytków na naszéj ziemi znajdujących się nie mamy.

— **Kit do żelaza.** Wynaleziono kit, który doskonale ma służyć do mocnego połączenia żelaza (stali) z kamieniem. Otrzymuje się on z mieszaniny gliceryny i glejty ołowianéj (Litharge et plomb). Dwie te części składowe urabiają się rzadko, ale muszą być natychmiast użyte, gdyż schną nadzwyczaj prędko. Pollack pisze: że wybornie osadzał z pomocą tego kitu stal w kamień i że żadna inna mieszanina téj nie wyrównywała. Jest ona nierozpuszczalna i bardzo tylko silne kwasy na nią działają. Kit ten tym twardszym się staje, im glejta połączona jest z większą ilością wody; gęsta mieszanina, nie tak się dobrze użyć daje. Używają téj massy do zakitowywania naczyń zawierających benzinę, oleje eteryczne i t. p.

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою, 22 Января (3 Февраля) 1871 г. — Redaktor, Stanisławski Oskar.

W Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. b.